

70 centymetrów

1 sierpnia 2024

Czym mniej jest uczestników powstania warszawskiego, tym częściej żyjącym zadaje się pytania o najbardziej denerwujące sytuacje i momenty, w których dokonywali bohaterskich czynów. Niżej podpisany parokrotnie już w swoich prasowych felietonach zapewniał, że nigdy nie czuł i nie czuje się bohaterem, chociaż przed powstaniem, w czasie powstania i po powstaniu bywało czasem trudno.



Dlaczego w opowiadaniach o zdarzeniach z tamtego okresu nie koncentruję się na samym powstaniu, tylko dodaję czas „przed nim” i „po nim”? Z dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, że należałem do tej części uczestników, którzy mieli za sobą jakiś rodzaj działalności konspiracyjnej w okupowanej przez Niemców Polsce. Po upadku powstania w większości nie wychodzili z Miasta z ludnością cywilną, tylko zostali przewiezieni do obozów jeńców wojennych.

Po drugie – bo w czasie powstania zostałem tylko lekko podrapany mikroodłamkami granatu, a „za to” w końcowym okresie pobytu w niewoli, w podobozie 346 w Munchen Gladbach, dywanowy nalot amerykańskich bombowców wyrócił dom, w którym się schroniliśmy. Zasypało mnie w półleżącej pozycji z utrudnionym

dostępem powietrza. Odkopano nas (mnie i dwóch kolegów) dopiero po ośmiu godzinach. Niemiecki felczer twierdził, że znaczne luki w pamięci i niedowład lewej ręki, były spowodowane długotrwałym niedotlenieniem. Po miesiącu, już kanadyjscy lekarze (ten rejon Niemiec wyzwalała I Armia Kanadyjska i załóżek II Armii) rozszerzyli tę diagnozę. Zmienne luki w pamięci miałem mieć (i mam!) do końca pobytu na tej planecie. A niedowład ręki też już zostanie, chociaż może być mniej odczuwalny.

Początek wojny

Wojnę rozpocząłem w harcerskim mundurku, z licznymi naszywkami informującymi o sprawnościach, jakie udało mi się zaliczyć, i z krzyżem harcerskim „ćwika”, ze złotą lilijką. Początkowo w gronie kolegów snuliśmy tylko plany aktywności niepodległościowej. Nie mogłem narzekać na nudę, bo nasz domek spłonął w czasie bombardowań. Zmobilizowany ojciec wrócił i pomagałem mu w poszukiwaniach jakiegoś nowego locum. Zacząłem też korzystać z dwóch źródeł szkolnej wiedzy. Chodziłem do Szkoły Zgromadzenia Kupców, której Niemcy nie zamknęli i która nielegalnie prowadziła także klasy licealne, nazywając je klasami korepetycyjnymi dla „opóźnionych” uczniów. Drugim źródłem wiedzy były tzw. komplety, tajnie organizowane przez zamknięte, duże szkoły, także pod hasłem korepetycji.

Tak minął rok 1940 i 1941. Dopiero wiosną 1942 roku kolega ze szkoły kupców zaprosił mnie na zebranie jego zastępu Szarych Szeregów, czyli najmłodszego okupacyjnego harcerstwa. Zebranie było w jego mieszkaniu na ulicy Dobrej. Stawił się komplet członków (pięciu) i dwóch gości ubiegających się o przyjęcie – w tym ja. Trwało krótko, aby nie budzić podejrzeń u sąsiadów. Głównym tematem było organizowanie nowego zadania, czyli zleczone przez „górze” obserwowanie, liczenie i opisywanie kolejowych transportów wojsk niemieckich, które przejeżdżały na wschód przez mosty na Wiśle.

Dopiero na następnym spotkaniu zwierzchnik o pseudonimie Ryszard (wiem dzisiaj, bo spotkaliśmy się po wojnie, że podharc mistrz Michał Filipowicz) odebrał od „nowych” uroczystą przysięgę. W latach 1942–1943 działałem aktywnie w Szarych Szeregach, awansując w harcerskiej hierarchii nawet na drużynowego. Kilkakrotnie prosiłem o przeniesienie do starszych grup bojowych, ale „szefowie” uważali, że mam (rzekomo) zdolności pracy z „młodą młodzieżą” i w tym charakterze jestem bardziej potrzebny. Równolegle pełniłem funkcję łącznika w długich i raczej trudnych trasach. Chodziłem też do konspiracyjnej szkoły podoficerskiej „Wiarus”, której zajęcia odbywały się wczesnymi wieczorami w kilku szkołach.

O możliwościach zorganizowania wielkiej akcji zbrojnej całego miasta – czyli o powstaniu – rozmawiano czasem w moim środowisku, traktując to jako mało realne marzenie. Zaczęliśmy mieć nadzieję, że coś takiego może się wydarzyć, dopiero w II kwartale 1944 roku, po kilku szeroko zakrojonych ćwiczeniach międzyorganizacyjnej i międzydzielnicowej łączności. Ale ocena dysproporcji sił, a zwłaszcza uzbrojenia, nadal była hamulcem tych rozważań.

Powstanie

Przed godziną „W” 1.08.1944 r. łączność w śródmiejskich drużynach Szarych Szeregów miała znaczne luki. Z niewielką grupą członków mojej drużyny wykonaliśmy więc rozkaz rezerwy i zameldowaliśmy się w najbliższym czynnym oddziale AK, czyli Batalionie Kiliński, podejmując służbę jako łącznicy. W Kilińskim byłem ponad 20 dni. Potrzeby łączności były tak duże, że spałem tylko w przerwach realizacji rozkazów. Już po kilku dniach uważano mnie za specjalistę w łączności z 9 oddziałem SOP (Służba Ochrony Powstania), walczącym na bliskiej Woli. Droga do tego oddziału była rzeczywiście długa, zmieniająca się i niebezpieczna.

Luki pamięci, o których wspomniałem, spowodowały, że pamiętam z tego okresu tylko parę, widocznie ważnych dla mnie, fragmentów. W pierwszych dniach został ciężko ranny mój Ojciec – kpt. Macedończyk. Leżał w szpitalu zorganizowanym w piwnicach budynku PKO na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. Odwiedzałem Go tam co dwa – trzy dni. Lekarze mnie zapewniali, że dochodzi do siebie i wyrwana przez pocisk z karabinu maszynowego nurkującego samolotu Sztukas część uda, stopniowo zarasta. Byłem „w trasie” kiedy ten szpital ewakuowano do części śródmieścia po drugiej stronie Alei Jerozolimskich. Ktoś ze szpitala, przypadkowo spotkany, powiedział mi, że po ewakuacji Ojciec miał krwotok z tej rany i umarł z upływu krwi. Pochowano Go w jednym z podwórkowych ogródków. Po wojnie, jeszcze przed moim powrotem do kraju, przeniesiono do grobu rodzinnego na Powązkach.

W drugiej połowie sierpnia odmeldowałem się w Kilińskim i wróciłem do macierzystej organizacji – zespołu łączników Kwatery Głównej ZHP.

Szukanie bohaterstwa

W żadnym odcinku mego życiorysu z okresu powstania nie znajduję czynów bohaterskich, ani nawet podłoża do takich czynów. Jeśli jednak pokonywanie panicznego strachu jest przez niektóre osoby traktowane także jako rodzaj pozytywnego zachowania, to mam w kulawej pamięci trzy takie momenty.

Dwa z nich są do siebie podobne. Usiłowałem dojść do wyznaczonych celów – raz na „dalekim” Mokotowie i raz na kierunku wolskim – nie mając pewnych informacji, czy nie są opanowane przez Niemców. Bałem się, że jako „bandit” zostanę natychmiast zastrzelony. Status jeńców wojennych w niemieckiej ewidencji uzyskaliśmy dopiero po kapitulacyjnych negocjacjach Bora-Komorowskiego z von dem Bachem. Do tego momentu byliśmy bandytami. Mimo strachu dotarłem jednak do adresatów, tylko z niewielkim opóźnieniem.

Trzeci napad panicznego strachu był najgorszy. Wezwano nas w awaryjnym trybie, bo „jest pilna potrzeba przesłania ważnych przesyłek na Starówkę”. Kanał pod Marszałkowską jest zalany, więc musicie wystartować kanałem pod Mazowiecką, który jest znacznie niższy – na głównych odcinkach ma 70 centymetrów – i nie ma punktowego oświetlenia. Dajemy każdemu z was latarkę z płaską baterią i odpowiednio przycięty kijek, którym można się podpierać z przodu o boczne ściany kanału, przy chodzeniu „na czworakach”.

Kanał

Nie chodziłem przed tym tak niskim kanałem, więc nie bardzo wiedziałem, co nas czeka. Dopiero jak weszliśmy włazem na rogu placu Napoleona i Mazowieckiej, to zdaliśmy sobie sprawę z trudności w realizacji tego zadania. Kanałem o takiej wysokości można było poruszać się tylko „na czworakach”. W niższych fragmentach (nawet tylko 60 centymetrowych) trzeba było się czołgać. Ale i przy tej pozycji czychało niebezpieczeństwo. Jeśli fragment kanału miał wyższy poziom odprowadzanej cieczy, przekraczający połowę jego wysokości, wtedy ciecz sięgała ust czołgającego się człowieka.

Po pierwszej godzinie tej wędrówki wysiadły wszystkie baterie w latarkach. Widocznie były jeszcze przedwojenne i długo leżały w jakimś magazynie. Wykąpany w fekaljach, w całkowitej ciemności, bez możliwości wstania i bezpośredniego kontaktu z innymi uczestnikami kawalkady, poczułem narastający strach. Koncepcja poprawy bezpieczeństwa polegająca na wejściu do kanału ze znacznymi odstępami (gdyby kogoś złapali, to pozostali mogli się wycofać) w istniejących warunkach okazała się błędna. Ciemność, samotność, trudność poruszania, brak orientacji lokalizacyjnej i niemal oszałamiający fetor zawartości kanału, potęgowały wrażenie zagrożenia. Mało brakowało, żebym zaczął krzyczeć i stracił kontrolę nad swoim zachowaniem.

Ten wysoki poziom strachu towarzyszył mi do chwili, w której dotarłem do burzowca pod Królewską. Boczne chodniki tego kanału nie były zalane, można było trochę się „uporządkować” i odpocząć. Było po czym, bo spokojnym spacerem pokonuję Mazowiecką w 10–15 minut. Czołganie kanałem zabrało nam wtedy prawie 4 godziny.

Dalej, w drodze na Starówkę, było nieco lepiej. Wprawdzie pod placem Piłsudskiego próbowano zaszkodzić nam jakimś rodzajem gazowego granatu, ale był nam znany sposób obrony. Znałem go tylko z opowiadań, jednak okazał się skuteczny. Polegał na wykorzystaniu faktu, że emitowany przez te granaty gaz był znacznie lżejszy od powietrza i jego warstwa dość szybko podnosiła się do „sufitu” kanału. Poniżej tej warstwy powietrze nadawało się do oddychania. Jeżeli zaatakowani byli na tyle zręczni, aby odpowiednio się położyć lub klęknąć, nie sięgając warstwy gazu, i oddychać powietrzem bezpośrednio nad płynącą cieczą, to po kilku minutach warstwa gazu rozpraszała się w sąsiednich fragmentach kanału.

Było już po trzeciej, jak dotarliśmy do wyznaczonego wjazdu na Daniłowiczowskiej. Na mnie czekał oficer i chłopcy z batalionu Zośka. Odebrali przesyłki i załatwili mnie i moim kolegom nocleg w salach jakiejś, częściowo zburzonej szkoły. Wróciliśmy do Śródmieścia następnego dnia, korzystając na ostatnim odcinku z „normalnej” drogi, czyli kanału pod Marszałkowską, w którym poziom cieczy znacznie się obniżył.

I tyle opowiadania o moim największym strachu w czasie powstania. Taki głęboki strach napada czasem człowieka, stanowiąc odwrotność bohaterstwa. To nie jest chwalebne uczucie, ale ma, moim zdaniem, pewną zaletę. Może wyzwolić determinację dalszego postępowania, często wymagającego wyższego poziomu odwagi.

Autorstwo: Tadeusz Wojciechowski

Zdjęcie: domena publiczna (CC0)

Źródło: Trybuna.info